

# REJSY

ILUSTROWANY DODATEK DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO

Nr 28 (38)

Niedziela, 9 listopada 1947 r.

Rok II

## W cieniu krzyżackiej twierdzy żyło w Malborku piękne Stare Miasto

Malbork... Pewien jestem, Czytelniku, że po przeczytaniu tego dziwnego słowa pomyślałeś sobie: aha, znowu piszą o tym krzyżackim zamku! Nie — tym razem o zamku zamieszkałym...

Bo z Malborkiem to rzeczywiście niezwykła historia. Istniała tu już na początku XIII stulecia osada pruska, zwana w języku jej mieszkańców Alyem. Z chwilą jednak, kiedy Krzyżacy wybudowali tu swój zamek, narodził się „Gród Marii” i jako nazwa, czy to w niemieckiej czy też w skądinąd polskiej formie, przetrwał po dziś dzień. Odtąd również olbrzymia krzyżacka twierdza rozciągała na miasteczko szary, zimny cień. Nawet teraz z dźwiękiem słowa Malbork kojarzy się nam tylko obraz ponurych komnat zamku i jego popularna, potężna sylwetka widziana od strony Nogatu. A miasto? Jestem przekonany, że wielu mieszkańców Polski centralnej nawet nie zdaje sobie sprawy z jego istnienia, chociaż o samym zamku malborskim wie może nawet niejeden.

Dlatego więc dzisiaj chciałbym pisać tylko o zapomnianym cennym klejnocie Malborka — o Starym Mieście.

Niewielki parowczyk „Czesław” wesoło pchający, przepycha przed sobą duży prom szczególnie załadowany samochodami i ludźmi. Plusk wody spłata się z malarowym zgrzytem i warkotem dochodzącym od strony, gdzie świeci złota kula słoneczna. To dźwiga się złota z wojennej ruiny most na Wiśle w Tczewie, most posiadający nie tylko pierwszorzędne znaczenie dla Malborka, lecz przede wszystkim dla całego Pomorza Wschodniego. Tymczasem jednak, chcąc się dostać do pociągu w Lisewie, musimy przejechać przez rzekę promem.

Pociąg płynie na wschód wśród nagich pól bezkresnej niziny. Tylko od czasu do czasu pozostawiamy na tyle za sobą jakąś kępę drzew z przycupniętą w jej cieniu wiejską zagrodą. Na horyzoncie zaczyna się zwolna rozszerzać szara plama dalekiego zamczyska.



Ratusz

Ostatni przystanek — właściwie już przedmieście Malborka — Kaldowo... Po ciąg przemyka się ostrożnie wśród kratownic odbudowanego niedawno mostu na Nogacie i wjeżdża do miasta.

Lecz gdzie jest właściwie to miasto? Mijamy okragłe i kwadratowe baszty obronne, przecinamy długie wstęgi murów, przesuwamy się wzdłuż najczystszych blankami ścian.

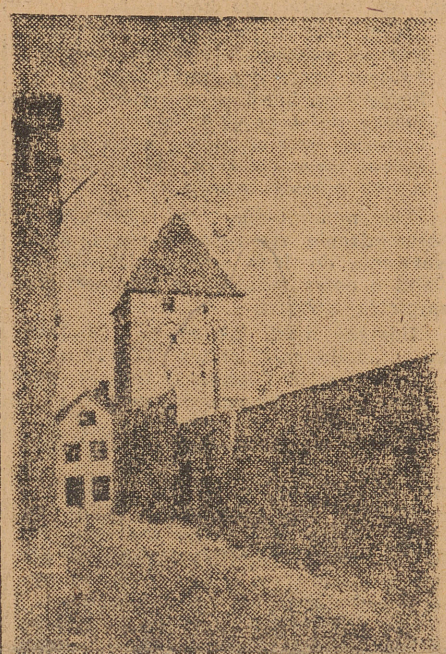
Rzeczywiście: tu i ówdzie przysiadł u podnóżka historii jakiś drewniany lub murowany dom, trochę dalej miga coś w rodzaju ulicy. Dziwne miasto pochłonięte przez zamek...

Gdybyśmy popatrzyli na plan Malborka, ujrzelibyśmy przede wszystkim ciągnący się wzdłuż Nogatu długi prostokąt obwiedziony czarną grubą kreską. Dwie trzecie owego prostokąta stanowi warowny obszar zamku, reszta to Stare Miasto...

Poza murem ciągną się trochę bezładnie dzielnice nowsze. Chociaż zostały one w czasie działań wojennych porządnie pokierusowane, dostarczają obecnie „dachu nad głową” wieloletniej reszty polskiej ludności.

Stare Miasto kompletnie przestało istnieć. Zniszczone centrum Gdańska wyda się największemu sceptykowi, w za-

stawieniu ze zburzonym odwiecznym ośrodkiem Malborka, oazą tętniącą życiem. Wysokie, przylegające bezpośrednio do rzeki wzgórza dźwiga czarna koronę starych murów a między tymi murami zwaliska cegieł zatarły nawet



Fragment miejskich murów obronnych.

linie dawnych ulic. Czasem tylko jakaś na wpół zwałona fasada frontowa pozwala domyślać się, że jej puste oczodoły wyglądały niegdyś na ulice.

Wchodzimy do Starego Miasta od północnego - wschodu, od strony zamku. Przeskakując z cegły na cegłę posuwamy się wolno w kierunku południowo zachodnim.

Nic... nic... nic... Skracamy w jakąś uliczkę na lewo... Chwila wahania wobec odrzucających swym ogromem zwalisk...

Lecz, co to? Bohatersko brniemy w nowoobranym kierunku, by stanąć przed ocalałą elewacją spalonego budynku. Autentyczny, brunatniejący poczerwiała cegła średniowieczny dom mieszkalny!!! Próżno byśmy takiego unikatku poszukiwali w Gdańsku. Jest to późny gotyk. W miejscu ostрых łuków występują tutaj charakterystyczne dla schyłkowego gotyku „ośle grzbiety”. Całość nie pnie się w górę, jak zwykle, a raczej statycznie ciąży w dół i na boki. Barbarzyńcy niemieccy „zmodernizowali” — przez wyłożenie ohydny klinkierem — cały parter, jednak piętrowy i szczytny szczyt nie naruszyli.

Idziemy dalej. Drogę przecina nam szeroka i długa ulica, zakończona masywnym wieżą, tzw. „Plac Rynkowy”. Parę kroków dalej wznosi się prawdziwa perła Malborka — Ratusz. Mały, jedno-piętrowy budynek z XIV wieku szczęśliwym trafem uniknął losu, jaki spotkał resztę Starego Miasta. Nawet wieża dachowa, choć pozbawiona dachówek zachowała się w doskonałym stanie.

Poprzeczny krągankę, niedomurwany otwór w portalu i jesteśmy w środku. Z przewodnika dowiadujemy się, że 4 dolne pomieszczenia posiadały raczej znaczenie pomocnicze. Właściwe sale (Radna i Sądowa) znajdują się na górze. Chcąc tam się dostać, możemy skorzystać z dostawionej zewnątrz właściwego ratusza tandetnej klatki schodowej lub z kręconych schodków w murze. Naturalnie wybieramy te ostatnie i po chwili jesteśmy już na piętrze.

Obie sale są istotnie doskonale zachowane. Jedną z nich (na lewo od ulicy) posiada wspaniałe sklepienie krzyżowe — żebrowane, natomiast sklep drugiego wspiera się na pięknym filarze.

Jeszcze raz oglądamy Ratusz od ulicy, chcąc nacieszyć oczy doskonałymi proporcjami zabytku oraz pięknym motywem zdobniczym (attyka i obie szczytne boczne).

Musimy odbyć jeszcze długi spacer wzdłuż murów otaczających Stare Miasto. W wielu odcinkach obszedł się one nawet bez tak hojnie aplikowanej przez Niemców „rekonstrukcji”. Biegna więc odkryte czarna stulecie od baszty do baszty, skracając ku Nogatowi, kryją się wzdłuż ścian różnych dobudówek i przybudówek, to znów wyskakują naraz przed zdumionym widzem wciąż jeszcze mocarne i potężne.

Baszta „Maryjna” nie oparła się płochej chęci dokonania na sobie operacji omdładzającej i dlatego widocznie losy pokarały ją surowo: wnetrze jej świeci jasnym błękitem nieba, natomiast Baszta

Garncarska pozostawiła na sobie ciemną szatę dawności, więc każdy, kto zechce się wkręcić w wir okragłych schodków biegnących w grubym murze, może od czasu do czasu przystanąć na ocalałych stropach pierwszego, drugiego i trzeciego piętra.

Na Malborskiej Skarpie od strony Nogatu wznosił się przed laty długi szereg spichrzów. Pożary, czas i ludzie zniszczyli je niemal doszczętnie tak, że pozostała jedynie historyczna nazwa ulicy oraz tylko jeden spichrz. Drewniano-ceglana konstrukcja (zwana niesłusznie „murem pruskim”) chyli się w swych starych partiach ku upadkowi. Natomiast wznosząca się na wysokim murze elewacja (właściwie rekonstrukcja dawnej) widziana od strony Nogatu przypomina dzieło kwitnącego miasta.

W drodze powrotnej, opodal zamku, wylania się przed nami ukryty wśród gęsto zarosłej kępy drzew kościół farny św. Jana Ewangelisty z XIV wieku.

Ta dwunawowa w swym pierwotnym założeniu świątynia jest jaskrawym dowodem polskości tych ziem. Świadczy o tym chociażby fakt, że jedyny kościół znajdujący się w obrębie murów Starego Miasta należał właśnie do katolików. Tutaj spoczęli zwłoki kilku zasłużonych starostów malborskich z Potockim na czele, tutaj spotykamy na ścianach wiele polskich nagrobków, tu wreszcie — na lewo od wejścia znajduje się — stawiana wyłącznie w polskich kościołach — ołtarz św. Stanisława Kostki.

Referat Kultury i Sztuki przy Starostwie Malborskim mieści się w pięknym, jasnym pokoju, ozdobionym zabytkowymi sprzętami, starymi sztychami, oraz... budzącym zrozumiałą sensację wśród interesantów — wypchanym kro-



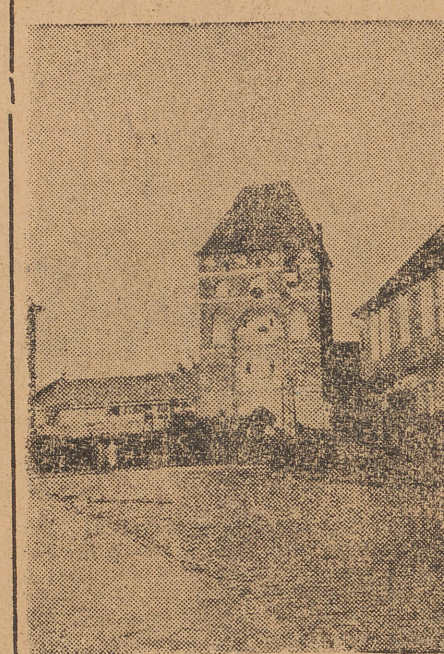
Ostatni stary spichrz

kodylem. Kierownicza Referatu, p. Zofia Hendzel, wita nas przyjaznym uśmiechem, który jednak gąsnie, skoro tylko zwracamy się z prośbą o parę informacji, dotyczących opieki nad zabytkami Malborka.

Chroniczny bowiem brak gotówki wobec ogromu potrzeb stanowi źródło ciągłych trosk naszej rozmówczyni.

W zeszłym roku udało się wykonać kilka zasadniczych prac, jak np. zabezpieczenie jednej ze ścian zewnętrznych pałacu W. Mistrza, oraz położenie dachu na kościele św. Jana.

Wszystkie jednak plany zakreślone na rok bieżący pozostały dotychczas nie wykonane niemal w 100 procentach. Przysłane przez Gdańsk oraz Minister-



„Baszta Garncarska”

stwo Spraw Wojskowych kredyty dotychczas nie nadeszły, a skromne stunkowo opłaty za wstęp na zamek wystarczają jedynie na bardzo drobne re-

## Dramat Jasnej Polany

W bieżącym miesiącu upływa 37 lat od śmierci jednego z najgenialniejszych pisarzy rosyjskich, Lwa Tołstoja. Pamięć wielkiego autora „Wojny i pokoju”, „Zmartwychwstania”, „Anny Kareniny”, „Sonaty Kreutzerowskiej”, „Potęgi ciemności” otoczona jest w Związku Radzieckim szczególnym pietyzmem. W ciągu ostatniego roku zorganizowano w Muzeum Literackim w Moskwie imponującą wystawę, związaną z życiem i twórczością Tołstoja. Po zniszczeniach wojennych orestaurowano również całkowicie cztery istniejące na terenie Związku muzea, poświęcone wielkiemu pisarzowi. Są to: Centralne Muzeum Literackie w Moskwie, Muzeum Tołstoja w domu, w którym mieszkał on w okresie pomiędzy rokiem 1882 a 1900-setnym, Muzeum Ludowe w Jasnej Polanie, gdzie Tołstoj urodził się w roku 1828, mieszkał większość życia i został pochowany, wreszcie nowo zorganizowane po wojnie Muzeum w Astacowie, tam, gdzie Tołstoj rozstał się z życiem wśród szalejącej burzy śnieżnej jednego z listopadowych dni przed trzydziestu siedmiu laty.

Śmierć Lwa Tołstoja, ów tylekroć komentowany dramat Jasnej Polany jest i dziś, tak jak w 1910-tym roku, przedmiotem dociekań pisarzy i czytelników, tych wszystkich, którzy — podobnie jak autor „Gospodarza i robotnika” — szukają prawdy w życiu i literaturze. Jakże było to tego dramatu?

Tłem było właściwie całe życie Lwa Tołstoja, zwłaszcza od chwili jego małżeństwa z prześliczną 16-letnią dziewczyną, córką jednego z najbardziej znanych lekarzy rosyjskich swego okresu, Zofią Behrs. To, co się stało pewnej listopadowej przedrannej godziny w Jasnej Polanie, a potem na zasypanej śniegiem małej stacyjce kolejowej w miasteczku Astacowie — to już tylko ostatni akt dramatu.

Bohaterami tego dramatu, granego przez całe życie, byli oni oboje: Lew i Zofia. Oboje bezprzebieżnie wielcy w tym, że ani na jotę jedno drugiemu nie chcieli ustąpić w walce o swoje ja, oboje nieugięcie okrutni dla samych siebie i oboje kochający się niezmiennie pewnie aż do ostatniej chwili wspólnego życia, a zarazem — oboje na wzajem umęczeni przez siebie do granic wytrzymałości.

Na początku, jak zwykle, wszystko jest dobrze. Ale tylko na początku, przez pierwszych osiem lat. Mieszkają w Jasnej Polanie, Tołstoj poświęca się rodzinie, gospodarstwu, czyta pisać, tworzy. Zofia w ciągu tych ośmiu lat wydaje na świat i wychowuje pięciorgo dzieci. Ciska, szczęście, prawie sielanka. Wśród sielanki dojrzewają młwsi pisarza. Około roku 1870-go następuje przełom. Przełom nie tylko duchowy. Lew Tołstoj zrywa w swych pismach z carskim rządem i cerkwią, porzuca krępujące go więzy dotychczasowych poglądów, zaczyna zwalczać militarizm, neguje pieniądź, chce rozdać swój majątek między chłopów, chce sam się zrównać z upośledzonym dotąd ludem. Co więcej, chce poglądy swoje natychmiast wcielić w życie. Czuję w sobie dość sił, potrzebnych do walki o ideały. Jemu samemu, realizującemu „Królestwo Boże wewnątrz nas”, potrzebna jest tylko jedna rzecz: swoboda. Pełna wolność. I oto, w realizacji świętego programu swego życia, natrafia na jedną przeszkodę, przeszkodę nie do zwalczenia: własną żonę.

Tołstoj pragnie żyć życiem natury. Dochodzi do przekonania, że tylko praca fizyczna zapewnia człowiekowi podstawę bytu. Dobra ziemska należy rozdać chłopom, prawowitym właścicielom, bo fizycznie pracującym na tej ziemi. Za utwory literackie autor nie powinien brać wynagrodzenia. Tworzy ducha są własnością nie jednostki, ale całego narodu.

Poglądy Tołstoja, przenosząc się ze sfery teorii w dziedzinę życia praktycznego, wywołały w Jasnej Polanie rewolucję. Zofia całą duszą zdecydowała, że ich uznać nie może. Żyła w kręgu ziemskiego pokoju, spłazała i kuchni i nie zamierzała zrobić najmniejszego wysiłku, aby ogarnąć horyzonty duchowe męża. Jak to? Wyrzec się olbrzymich honorariów autorskich Lwa? Przecież to własność ich dzieci! Oddać majątek chło-

Tymczasem czas nagli. Ratusz, który da się obecnie zabezpieczyć przy pomocy tysięcy, za lat parę pochłonie miliony, gdyż destrukcyjna działalność atmosfery spowodowała już na sklepieniach jednej z izb mocne i wyraźne rysy. Podobnie rzecz ma się z szeregiem cennych sal zamku (np. sala Kapituły), z nieoskzonym po dziś dzień kościołem św. Jana, z narażoną na zwalenie przez silne wiatry jesienne fasadą gotyckiej kamienicy itd.

Naturalnie — wszyscy zdajemy sobie sprawę z trudności, z jakimi musi się borykać Państwo, rozumiemy też, że istnieje pewna hierarchia potrzeb, tym nie mniej cenne i znane szeroko w świecie zabytki Malborka znajdują się na prostej drodze wiodącej ku kompletnej ruinie. Zresztą, skoro kredyty zostały już swego czasu przyznane, przypuszczamy, że ich wypłatę wstrzymują jedynie pewne względy formalne lub nawet wręcz biurokratyczne.

Dlatego też zwracamy się tą drogą do odpowiednich czynników z gorącym apelem: Pomóżcie Malborkowi uratować jego cenne zabytki od zagłady, póki jeszcze czas... Zanim ostatecznie nadejdzie nowa zima, dużo jeszcze da się zrobić, zwłaszcza że dobrych chęci nie brakuje...

Czekamy... Jerzy Stankiewicz

pom? A co dla dzieci zostanie? Patrząc spokojnie, jak Lew, przez szacunek dla pracy fizycznej, obojętnie pali w piecach pałacowych? Dobrze, ale ona, znęcona już trudami macierzyństwa, nie ma sił i nie chce sama karmić dzieci, prać im, gotować, sprzątać, czego od niej zamierza wymagać mąż!

Pozwalać, żeby Lew całymi dniami był zajęty tylko pracą, pracą i pracą? Ależ on należy do niej, do żony i dzieci!

Nieustępliwa walka trwa. Lew zapowiada ucieczkę na koniec świata. Zofia próbuje samobójstwa. Wieści o awanturach, skandalach, dysonansach i wybuchach przedostają się daleko poza Jasną Polanę. Po każdym wykleciu żony przez męża nowa próba samobójstwa z jej strony, po każdym truciściu się i topieniu — zgoda i nowe dziecko. Z biegiem lat dzieci tych jest osiemnastu, a ostre walki o ideały stępią się w udrękach codziennego dnia. Tołstoj, nie zmieniając poglądów, nie stara się ich już tak bezkompromisowo wcielać we własne życie. Żona i matka pozornie zwycięża. Ale jakim kosztem?

Im dalej autor „Wojny i pokoju” postępuje w latach, tym silniej poczyna tęsknić do swojej „prawdy”. Wreszcie w listopadzie 1910-go roku, 82-letni Tołstoj, może w przecuciu bliskiej śmierci, przeżywa ostatni bunt duszy, ostatni zryw. Żegnaj — Zofio, żegnaj — Jasna Polano, żegnaj — spętane życie!

Parę godzin przed świtem, wśród zamieci śnieżnej, chory, zbolący Tołstoj, podnosi się z łóżka. Cały dom śpi.

Czuwa tylko on i jedna z córek, z którą ojciec jest w zmoiwie. Pakuje trochę drobiazgów i parę książek, gorączkowo przynaglaając córkę: „Przedzie! — przedzie! i ciszej, żeby się matka nie obudziła” i ucieka z domu. Dociera tylko do jednej z najbliższych stacyjek kolejowych i tu, w mieszkaniu zawiadowcy stacji, zapada w gorączkę. Zapalenie płuc. Dogorywa kilka dni. W Jasnej Polanie alarm — i pogon za starym. Najazutrz już cała rodzina czuwa u łóżka konającego w małej mieścinie Astacowie. Brak tylko jej jednej — Zofii. Żonę Tołstoj zabronił dostępu do siebie. Tak, ale ona nie wierzy w nieodwołalność tego strasliwego przedśmiertnego odepchnięcia. Przeszło 70-letnia, schorowana, przybita, teraz już nieporna na swoją wielką ambicję, na plotki otoczenia, na opinie całego świata — na mrozie, w śniegu i zamieci stoi nieruchoma przy oknie pokoju, w którym kona mąż. Stoi i czeka. Czekając, dwa, trzy, cztery. Na próżno. Kochali się, krzywdzili się ciągle i nie ustapiłi sobie. Bez zgody i przebaczenia Lew Tołstoj rozstaje się z życiem. Oto jego wyrok na żonę, oto zemsta za grobu, oto dramat Jasnej Polany.

Istotą dramatu Jasnej Polany była walka o prawdę. Nieustępliwa walka człowieka o wolność ducha, w tym wypadku zamkniętą w orbicie wielkiego serca Lwa Tołstoja.

JANINA KRAUSOWA

Anegdota z życia wielkich pisarzy

Po powrocie z Rzymu opowiadał kardynał francuski autorowi „Gargantua et Pantagruel”, że uzyskał audiencję u papieża i ucałował jego pantofel. Rabelais zamyslił się głęboko.

— Nad czym pan tak myśli? — zapytał kardynał.

— Wasza Eminencja stoi o tyle wyżej ode mnie — odrpiał Rabelais — że ucałował pantofel papieża. Zastanawiam się nad tym, co musiałbym ucałować ja, biedny laik.

Rabelais był ciężko chory. Lekarze, którzy go leczyli, prowadzili ożywioną dyskusję na temat choroby i jej przypuszczalnego przebiegu. Rabelais poprosił o głos:

— Panowie — powiedział — pozwólcie mi umrzeć naturalną śmiercią!

Milton, twórca „Raju utraconego”, znany był z tego, że był bardzo złym mężem. W pewnym towarzystwie zapytał nagle żonę czule:

— Czy nie siedzisz przypadkiem w przeciagu?

— Nie — odpowiedziała żona.

— W takim razie zamierzam się miej- scami, bo tu diabło wieje!

Pani de Maintenon znana była z umiejętności prowadzenia ożywionej rozmowy. Kiedy była jeszcze żoną poety Scarrona, powodziło jej się bardzo źle materialnie. Pewnego dnia zabawiła go ści przy obiedzie opowiadaniem anegdoty, kiedy podszeł do niej służący i szepnął jej na ucho:

— Proszę pani, jeszcze jedną anegdotę — nie mamy pieczeni!

Francuski bajkopisarz La Fontaine był pewnego dnia w towarzystwie, w którym bardzo się nudził. Powstał więc i przeprosił, że musi już odejść, bo ma wieczorem wygłosić przemówienie w Akademii. Gospodyni zaprotestowała:

— Przecież odczyt w Akademii rozpoczyna się dopiero za godzinę, a najkrótsza droga zajmie panu zaledwie 20 minut.

La Fontaine skłonił się uprzejmie: — Chciałbym jednak pójść najdłuższą drogą!



# „Balladyna“ na tle naszego czasu

Czy „Balladyna“ nie jest już tylko pozycją historyczną? Czy pozostała do dziś dziełem żywym i aktualnym? Po premierze gdyńskiej spotkałem się z głosami powątpiewania.

— Któż widział tyle trupów, istna rzeźnia — rzucił ktoś. A był to — o ironio! — zagorzały obrońca naturalizmu, zwolennik swoistej „prawdowości“ w sztuce. Odpowiedziałem jego własną bronią, argumentem wprost, ad hominem:

— A mało to „na prawdę“ zabijało się ludzi, i zabija dziś jeszcze, po całym świecie?

I w wspomnieniu zbiegły się nagle dwie zadziwiająco zgodne i równie wstrząsające wypowiedzi: Słowackiego, z tejże właśnie „Balladyny“, i współczesnej pisarki. Podsumowując swe „Medaliony“, kwintesencję minionych (czy na prawdę już minionych?) „czasów pogardy“, stwierdza Zofia Nałkowska lapidarnie: „Ludzie ludzom zgutowali ten los“. Z takim samym zdumieniem mówi — ustami Goplany — Słowacki, na sto lat przed epoką krematoriów: „LUDZIE tak siebie żarzają...“.

Dostrzeżenie tej wzruszającej zbieżności zapoczątkowało nowe „odkrycia“ w tekście „Balladyny“. Pewne wiersze, niezauważone dotąd, stały się w nowym — nieoczekiwanym świetle, nabrały nowego znaczenia i wagi. I nie tylko uwierzyłem się w ogóle nad tajemnicą, która otacza związek, zachodzące między życiową „prawdą“ a literacką „fikcją“, — Cóż się bowiem okazuje?

Słowacki, zdawałoby się artysta i nie poza tym, rzuca w swym dramacie spostrzeżenia i myśli niebawem odkrywcze, właśnie w sensie historycznym; przeczuł tak dalece wybiegające w przyszłość, że dziś dopiero w pełni widzimy ich przerażającą trafność.

Demokratyzm Słowackiego, jego entuzjastyczna, choć odległa od życia wiara w lud i ludowe rządy są rzeczą dość powszechnie znaną. Ale nie to jest mocną stroną jego talentu: afirmacja, myśl konstruktywna, myśl zdolna budować rzeczywistość. Odwrotnie. Słowacki celuje raczej w krytycyzm, w analizę stanów negatywnych, w wizjach mrocznych i pesymistycznych. Taką wizję i przeczuć ogarnął poeta sprawy potężniejszej go w XIX w. państwa. W „Kordianie“, w „Balladynie“, w „Lilii Wenedy“, i w innych swych utworach. Uczynił to zaś z intuicją poetyczną tak silną, że w myślach jego bohaterów zdajemy się oświadczać do podstaw systemów nieulduz-

Dziób, ogonek i skrzydła i rodzinne znaki. Odtąd nie będą dzieci swych posyłać ptaki. Do niemieckich zakładów, gdzie uczą parugi. Wyjęte sroki, które oddają usługi. Ważne mowie ojczyście. Z cudzych stron osoby. Jak to: kanarki... śledzić. Na obce wyroby. Nakładam ci... od lokcia tęczy wyróbionej... „placić po trzy złotniki...“.

Znajdujemy tu i pospolity już w komedii dowcip, że Grabiec czyni Chochlika królewskim ministrem, bo... głupi... Ale to są tylko drobne mściwości, przesłanki typowe dla stosunku artystów do świata polityki, którym inaczej niż ich światem rzadzi przypadek lub... przyzwyczajenie. Grabiec mówi przyjąwszy hold Lechitów:

„Tak się w mój tron złościć królowaniem wraże, Ze nie oderwa ludzkie od tronu człowieka. Proszę! Co za dziw...“.

Ale od tonu żartobliwości, bardzo zresztą spostrzegawczej, rychło przerywa się autor „Balladyny“ w głęboką psychologiczną analizę życia społecznego. Ślepe dążenie do władzy, nieumiarowana chęć władztwa człowieka nad człowiekiem — oto sam rdzeń zła, zarodek wszelkich zbrodni. Dostrzegając zainteresowanie sobą Fon Kostryń, dowodzący warty zamkowej, mówi do siebie Balladyna, jego nowa pani: „Dziwnie, że się ludzie boją ludzi jak Boga i więcej niż Boga“. Znajduje upodobanie w tej czi i bojaźni. Postanawia: „Będę odważna z ludźmi“.

Oto, rzecz można, duchowe narodziny faszysty! Będzie odtąd podbił ludzi. Wbrew humanistycznej maksymie Kanta będzie traktował ich jako środki i narzędzie, nie jak człowieka — cel sam w sobie. Sprzysiężeni przeciwko tym, nad którymi chcą zaważać, pójdą Balladyna i Fon Kostryń razem wspólną drogą. Sprzysiężenie swe przeciw współludziom potwierdzą wspólnymi morderstwami.

— „Grafini, napadliśmy razem Na tego starca: czy wiesz, co to znaczy? ...Ja biorę połowę Twojego strachu, tajemnicę, rozpacz. — Co robisz z Kostryń? — Miec głowę...“.

Któż to mówi? Czy nie niedawni „zdobywcy“? Nie zapominajmy, że Fon Kostryń jest Niemcem i że to on jest mistrzem Balladyny.

Żądza nieskończonej władzy nie zna granic. Wkrótce Balladyna zgłodzi nawet współnika. Jak krwawa ironia brzmi jej zachęta w samej chwili otrucia: „Trzeba ludziom wierzyć“. W człowieku opętanym żądzą władzy nie ma miejsca na wiarę w człowieka. Fon Kostryń ginie, ale tuż przed śmiercią oskarża zabójczynię, odsłania przyszłość państwa z przenikliwością człowieka, który gdyby żył czyniłby tak samo:

„Ja pierwszy otwieram Grobowiec ciemny dla ludzi tysięcy, Co będą żyli pod nim...“.

Balladyna zapoczątkowuje rzeczywistość rządu terroru. Rozkazuje śledzić, kto

śpiewa tajemniczą pieśń odsłaniającą prawdę o jej zbrodniach: „Obmyśli, co z tym człowiekiem stanie się...“. Tłumi w swym państwie wszelką prawdę niewygodną. A wreszcie ogłosi wprost, że zbrodnia jest racją stanu państwa, że „sa zbrodniarze wyżsi nad wyroki, święci jak ołtarze, niedostępni...“.



Włodzimierz Kwaskowski jako Grabiec-król. — Zdjęcie z IV aktu „Balladyny“ w Teatrze „Wybrzeże“ w Gdyni.

Fot. E. Zdanowski.

Oczywiście, „Balladyna“ nie jest utworem pogodnym. Na pewno nie jest to dramat dla ludzi żądających od sztuki, aby im dawała wypocinek. „Balladyna“ zawiera za to gorzką na pewno, ale zadziwiającą proroczą prawdę „czasu nie-ludzkiego“. Jeśli reżyser praski Burian transponował w tej inscenizacji „Romeo i Julię“ Szekspira w ponurą rzeczywistość lochów okupacji, „Balladyna“ przez swą aurę myślową niemiennie znakomicie nadawała się do podobnej, nawet jeszcze wyraźniejszej scenicznej aktualizacji.

Mroczni bohaterowie „Balladyny“ mają jeszcze jeden rys wspólny z ludźmi potępionej i przezwyciężanej przez nas epoki. Cechuje ich pograżenie w nieumiarowanej działalności, brutalny hiperaktywizm i dynamizm, posunięty aż do zaprzeczania ludzkim uczuciom. „Matko stara, Zamek nie chata, tu zatrudnił chmara. Tu nie snów słuchać...“ — tak mówi Balladyna do swej matki — staruszki. Przyjemność i brak pozamaterialnych horyzontów, zaprzeczenie wyższych praw ducha, kult mamonny — oto co charakteryzuje świat, w który wchodzi bez wahania.

Jako poeta romantyczny, Słowacki w sposób naturalny występuje w obronie

świata duchowego. Jako dramaturg osadza wszelkie przerosły, naruszające wewnętrzną harmonię społeczeństwa. Wier i ślepa żądza władzy i posiadania, i do nikąd skierowany hiperaktywizm, przekleństwo ciążące nad naszą, „amerykańską“ epoką, które tak wymownie scharakteryzował Ilja Ehrenburg w swym głosnym artykule w „Prawdzie“. Ale też Słowacki sam nie tkwi już w okresie „Balladyny“ w atmosferze artystowskiego kwitetyzmu, w świecie izolowanych od życia snów. Przeciwnie. Słowacki przewidywał już wtedy w sobie byronowskiego ducha negacji, zmierzającego ku duchowej harmonii, opartej na moralnym ujęciu świata. Składnikiem tej kiej harmonii jest jednak w człowieku i sfera woli i świadomego działania.

I w „Balladynie“ widzimy rzecz dość niezwykłą. Słowacki — marzyciel dostrzegający brud polityki i spraw publicznych. Widzi, że często źli panują, a do brzy gina. Dopracowuje się mimo to własnej postawy czynnej, wzywa do czynu, nawet pozornie daremny: „Niechaj wie człowiek, że mu Bóg pożyczył życia na krótko, niechaj odda w czynach co winien Bogu“. Tak mówi Kirkor, opuszczając młodą żonę, aby walczyć o sprawę króla — pustelnika. Ale prawdziwą rozprawę z samym sobą, z kompleksem widzą w sobie oznacza postać Filona, sentymentalnego kochanka.

„Przecł precz ode mnie, kwiecie beznasienne, Studniom niezdatny, jak słuczce drbanki, Światło jako słoneczko black jesienny Bezużyteczny. Skoro na tron wrócę, Zamknę się w szpital szalonych... „ smutek serca niechaj cię pogrzebie, Mława istota. NIC niech NIC zabije, A twój grobowiec zamknę NIC“.

Tak odnajdujemy w „Balladynie“ potwierdzenie zła naszego czasu, ale i wezwanie do jego przewyciężenia, do walki o nowy świat — w imię wartości najgłębiej ludzkich.

Uderzać musi, jak często powtarza się w „Balladynie“ słowo „Bóg“. To nie tylko oddźwięk ówczesnej lektury: Biblii, Dantego, Calderona. Jest w tym i coś innego: przeczuć zachwiania się podstawowych pojęć, rządzących dotąd światem a opartych na niewzruszonym dotąd, poręczonym w sposób ostateczny — kanonie człowieczeństwa. „Zapomnę, że jest, będę żyła jakby nie było Boga“ — mówi Balladyna i znajduje odzew w dzisiejszym widzu, świadku czasu bez-bożnego bo nie-ludzkiego.

Czy „Balladyna“ jest więc jeszcze dla nas dziełem żywym? Odpowiem innym pytaniem: Czy przestała być aktualna, czy przestała kiedykolwiek — Antygona, tragiczna obrończyni praw boskich i ludzkich? Walka o sens człowieczeństwa, sens najkonkretniej ustalonej moralnie i społecznie, trwa ustawicznie. Tragedie wielkich pisarzy nieustannie osadzają nie tylko scenicznych bohaterów, ale i nas żywych.

Andrzej Odnowa.

## Nad jeziorem Dojrańskim

Cienisty nad brzegiem jawor — o bielecie w wodzie, w niebie! — O dziewczę pod tym jaworem stojące, com ujrział ciebie!

Skąd się wzięła twa uroda i twa kibic widna z dala? W twoim oku niebo czuwa i jeziora modra fala.

Poprzez długie rzęsy twoje złote słońce jedwab toczy. Błękitnie moja dusza od błękitnych twoich oczu!

BLAŻE KONESKI

Z języka macedońskiego przełożył Stanisław Brzeziński.

## Aforyzmy

Do Boileau przychodził często pewien dworzanin, który pewnego dnia zrobił mu wyrzut, że nigdy go nie rewizytuje.

— Między nami jest wielka różnica — odparł Boileau. — Kiedy pan do mnie przychodzi, wypełnia pan sobie czas, ale kiedy je przychodzi do pana, tracę go!

La Bruyere, autor „Charakterów“, po wiedział kiedyś:

— Wolę raczej zapytać starego mężczyznę, kiedy umrze, niż starzejącą się kobietę, kiedy się urodziła.

Angielski aktor i dramaturg Foote wracał pewnego wieczoru bardzo późno do domu. W jakiejś wąskiej uliczce wyskoczył oknem z 3 piętra jakiś człowiek i upadł na ziemię, jednakże dziwnym zbiegiem okoliczności nic mu się nie stało. Przestraszony Foote dopomógł mu powstać i rozpoznał w nim jednego ze swych przyjaciół, znanego z zamiłowania do hazardu.

— Co się stało? — zapytał.

— Awantura przy grze — odparł przyjaciel.

Foote spojrzał w górę na oświetlone okno 3 piętra i powiedział:

— A czy nie mówiłem ci zawsze, żebyś nie grał tak wysoko!

W Akademii Francuskiej przeprowadzono zbórkę pieniędzy, jednakże po obliczeniu okazało się, że brakuje jeden luidor. Podejrzanie padło na jednego z członków Akademii, znanego ze skąpstwa i zapewnił on jednak, że wpłacił żadaną sumę.

— Nie wiedziałem tego wprawdzie — oświadczył przewodniczący — ale wierzę w to.

Na to odzewał się Fontenelle:

— Ja to widziałem. Ale w to nie wierzę.

Po premierze sztuki „Semiramis“, która nie miała powodzenia, Voltaire zapytał poeta Pirona, co sądzi o „Semiramis“.

— Sądzę, że teraz byłby pan zadowolony, gdybyś to ja napisał „Semiramis“ — odparł Piron.

# STANISŁAW MONIUSZKO i jego społeczne znaczenie

W roku bieżącym upłynęło 75 lat od daty śmierci Stanisława Moniuszki. Polski świat muzyczny godnie uczcił tę rocznicę i przypomniał ogółowi o zasługach, jakie wniósł ten kompozytor do skarbcza naszej kultury. Śpiewactwo okręgu gdańskiego urządziło w tym celu zjazd chórów Wybrzeża, połączony z obchodem 28 rocznicy istnienia chóru męskiego „Moniuszko“ w Gdańsku. W programie uroczystości wygłoszono m. in. poniższą prelekcję.

Stanisław Moniuszko urodził się w r. 1819 w Ubielu, zaścianku szlacheckim koło Mińska, na dalekich kresach Litwy i Białorusi. W przeciwieństwie do Chopina, wyrastał wśród ludu wiejskiego, z dala od wielkich środowisk kultury i cywilizacji. Wykładała go prosta piosenka ludowa, pełna rzewnego sentymentu, szczerości uczucia i swobodnego piękna, jakiego daremnie szukać wśród pieśni ludowych innych narodów. Ojciec Moniuszki, Czesław, był żołnierzem wojsk polskich, osiadłym na roli, a matka Elżbieta z Madzarskich, wniosła w domat atmosferę, która przesiąknięta była duchem „Śpiewów historycznych“ Niemcewicza. Młodemu Stasiowi sama dawała pierwsze początki nauki gry na fortepianie, a gdy syn podrośł, oddali go rodzice na studia do Warszawy, a potem na dwa lata do Berlina. W roku 1839 osiadł Stanisław Moniuszko na przeciąg 20 lat w Wilnie, jako nauczyciel domowy muzyki i kompozytor. I teraz ujawnia się wielka i znamienna cecha charakteru Moniuszki.

Posiadał ogromny talent i wykształcenie muzyczne, mógł zamknąć się w sobie i tworzyć dzieła o epokowym znaczeniu dla przyszłych pokoleń. Stać go było na to, świadczyć o tym pierwsze pieśni, wydane w Berlinie podczas studiów w Runghagena. Ale jego bystry zmysł społeczny, jego głęboka miłość narodu, zrodziły w nim postanowienie oddania swojego talentu w służbę polskiej kultury muzycznej najsłabszym warstw społecznym. Moniuszko widział dokładnie, jak ogromna jest przepaść pomiędzy górnym szlakiem twórczości Chopina, a społeczeństwem. Przecież jest to okres naszej niewoli i prześladowań. Znikła kultura muzyczna z naszych miast, a... na koncerty, jakie u nas wydziera się i to

z rzadka — jak pisał wówczas Moniuszko — „pięknie nie warto“. „Orkiestra nasza — pisał dalej z Wilna — bardzo niekompletna. Fagotu ani zapachu, oboje jeden, a klarnet tak sfałszowany, że wolałbym raczej, aby wcale nie egzystował. Walterona arcysłaba. Za to puzon grzmi za wszystkich. Kotły są doskonałe, ale — kolisty nie mamy“. Oto obraz życia muzycznego w Wilnie, a twierdzić można, że podobny stan panował i w innych miastach Polski. Tam, gdzie pod dworach uprawiano jeszcze jakiś muzykę, pielegnowano obce miernoty i pizyczne.



Stanisław Moniuszko zrozumiał ten katastrofalny stan. Jego sumienie obywatelskie nakazywało mu stanąć do walki o podniesienie kultury muzycznej w narodzie, twórczością swoją postanowił wypełnić tę przepaść, jaka dzieli społeczeństwo od pięknej muzyki Chopina. Syn szlachcica, wielki talent muzyczny i znakomity twórca, znający swoją wielkość, nie waha się objąć posadę marnie płatnego organisty przy kościele św. Jany w Wilnie, gromadzi obok siebie amatorów śpiewaków i grajków i przy ich po-

mocy rozpoczyna szeroką działalność muzyczną. Posłuchał głosu Ignacego Krzeszewskiego, który w „Tygodniku Petersburskim“ w r. 1842 pisał: „...prosimy p. Moniuszkę, aby się zniżył do pojęcia ogółu i uczynił łatwym. Stopniowo później będzie się mógł, oswoiwszy swoich czytelników, podnieść do trudniejszych kompozycji“.

I w tym kompromisie pomiędzy swoim wielkim talentem, a potrzebami kultury muzycznej społeczeństwa polskiego, leży narodowa zasługa Moniuszki. Aby miasto i polski dwór nasiąkał kulturą muzyczną, wyrósł z polskiej gleby, pisał ponad 400 pieśni i ogłasza je drukiem w dwunastu „Śpiewnikach domowych“. I w czasach, kiedy imię „Polska“ zdawało się zniknąć z mapy Europy, pieśni Moniuszki wspólnie z Mazurkami Chopina stawały się owymi „armatami, ukrytymi wśród kwiatów“ i utwierdzały naród w mocnym przekonaniu i wierze w polityczne odrodzenie. Bo Moniuszko sięgnął w swej twórczości do samego wnętrza polskiego ducha, do najgłębszych pokładów narodowej nuty. Dał temu wyraz w jednym z listów, pisząc: „To co jest narodowe, krajowe, miejscowe, co jest echem dziecinnych naszych wspomnień, nigdy mieszkankom ziemi, na której się urodziło i wzrosło, podobać się nie przestanie“. I dlatego w muzyce Moniuszki każdy z nas odnajduje tyle bliskich sobie motywów, melodii i obrazów.

Moniuszko pracował na każdym odcinku muzycznej kultury, nie pominął żadnej dziedziny. Pieśnią zaglądał do dworów szlacheckich i miast. Mszami, litaniami, motetami i pieśniami religijnymi podnosił kulturę muzyczną kościoła katolickiego, rugując stamtąd niemiecką tandetę. Dla estrady i sceny pisał kantaty, oratoria, wodeville, melodramaty, operetki i wielkie dzieła operowe. On pierwszy wypowiedział skuteczną walkę obcym naleciałościom na scenie, naszej kulturze muzycznej dał dzieła, które z akcji, języka i ducha są czysto polskie. W lot oceniał, jak wielkie znaczenie posiada śpiewane słowo ze sceny. Tej wszechwładnie panującej obcej modzie

przeciwstawił swoją twórczość i własne pomysły. Bo Moniuszko kochał sztukę, nie dla nikczemnego zysku, lecz dla jej czystej świętości, jak pisał w liście do słynnego kompozytora rosyjskiego, Cezara Cui w Petersburgu, swojego ucznia z czasów wileńskich.

Cała twórczość Stanisława Moniuszki przesiąknięta jest stoncznym ukochem wszystkim, co jest polskie, opromienienia ją szlachetna wizja narodowej przeszłości i kapie się w najpiękniejszych melodiach. Nie dbał Moniuszko o materialne korzyści ze swojego talentu, chciał jedynie służyć narodowi. I chociaż wileńska „Halaka“ dyrygował w jednym bucie skórzanym, a na drugiej nodze miał but futrzany, gdyż nie miał pieniędzy na wykupienie trzewika od szewca, to jednak w historii narodu naszego wyrósł do czołowej postaci, do pioniera, który w najcięższych chwilach naszego narodowego bytu świecił przykładem ofiarnej pracy i poświęcenia. I w tym leży wielka i historyczna zasługa Stanisława Moniuszki, którego 75-lecie śmierci w roku bieżącym obchodzimy.

Stanisław Moniuszko, to społecznik. Całą potęgę swojego twórczego talentu poświęcił aktualnym potrzebom narodu, zniżył swój lot, ściśzył własne ambicje, odczuł, jak bardzo jest społeczeństwu potrzebny. Zaiste, tylko wielki i inteligentny umysł, wielkie i szlachetne serce potrafi zdobyć się na taki ofiarny kompromis.

I możemy śmiało twierdzić, że bez Moniuszki panowałaby przerażająca pustka pomiędzy ogólną kulturą muzyczną naszego narodu, a tym, co nam dał geniusz Chopina. I chociaż lata upływają, twórczość Moniuszki nie zblednie. Zawsze stanowić będzie kamień węgielny naszej kultury muzycznej, albowiem to, co wyrósł z glebi duszy narodu, posiada wartości ogólnoludzkie i nie przemijające.

Roman Heisi



Józef Niewęgłowski w roli Słowackiego w sztuce „Genewa“ granej przez Teatr Kameralny „Wybrzeże“ w Gdyni.

Fot. E. Zdanowski.

kich, tych co w naszych czasach uswieciły, pogwałciły godność człowieka, zniszczyły wiarę w niego.

Może inspiracją tych myśli i postaci nie tak ze wszystkim była literacka, Słowacki, poeta — rewolucjonista, głosiciel wolności, wróg tyranów, miał przecież i swoje rzeczywiste zetknięcia z państwem. Z ówczesnym państwem, bytującym w cieniu juralizmu ancie régimeu i „świętego przymierza“. W swych pamiętnikach nieraz i bardzo osobliście pisze o tym, jak państwa traktują polskich emigrantów, jak obserwują ich, tropią, utrudniają wszelkie obracanie się w ich granicach. Oczywiście, sceptycznie rzecz biorąc, można zlekceważyć „pielgrzymstwo“ Słowackiego — mamisynka. Miał pewne trudności w swych zagranicznych wояжach, długo niekiedy czekał musiał na paszporty i wizy. Ale to wszystko prawie.

„Prawda artysty“ jednak polega może właśnie na tym, że jego drobna „życiowa prawda“ potężniejsza od takich rozmiarów, iż wyprzedza długie dziesiątki i setki lat idącej ewolucji. Aż gdzieś po latach widzimy, że „przesada“ artysty pozwoliła mu scharakteryzować naszą własną epokę, postawił jej właściwą diagnozę, wstrząsnął wizją jej degradacji i upadku. I tak mała sprawa paszportu może pod piórem geniusza stać się okazją dla rzużenia przestrogi na stułecia.

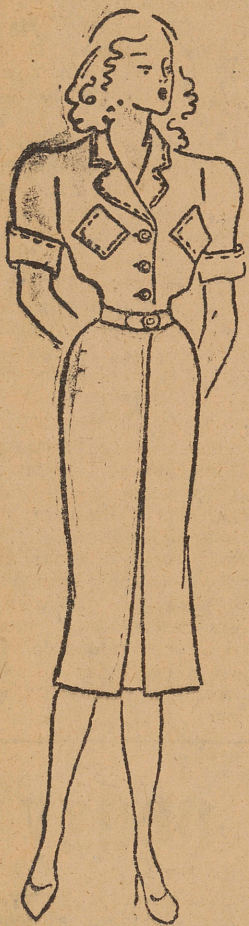
Jest w „Balladynie“ takie głośne ekspozé Grabca — władcy pyszna satyra na zachłanność państwa, jego coraz bardziej „totalna“ omnipotencja, jego ekskluzywny graniczny i narodowy.

„Wróbił sejmny rozpędzić; ja sam będą rzadził I wiesz! i nagradzał... Jaskółkom na drogę Dawał paszporty, w takich opływał nogę...“.



# Hurra, są przydziały!

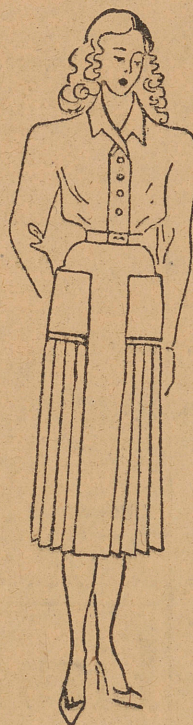
Ostatnim wielkim ewenementem Wybrzeża są zapowiedziane przydziały tekstylnie. Mają dawać na każdą kartkę po kuponie prawdziwej, 60-procentowej wełny. Ta szalona okazja pozwoli nam na chwilę zapomnieć o skomplikowanych



przeróbkach starych szmatek na nowe „kreacje” i pozwoli głęboko zastanowić się nad problemami tak ważkimi, jak fason, długość i kolor.

Tak, drogie panie. Nareszcie będziemy mogły sprawić sobie taką suknię, ja-

ka odpowiada naszym gustom i urodzie. Nie przystąpimy do wyboru fasonu niewolniczo wpatrzony w paryskie żurnale. Owszem, podpatrzmy w modzie paryskiej to i owo, właśnie to, co jest w niej ładne, ale nie radzę na przykład wybierać paryskiego kroju spodniczki „bezułkowatej”, bo w niej każda z nas będzie wyglądać, jak autentyczna bezułka.



Moda jesienna daje nam w tym roku duży wybór. Można sobie sprawić sukienkę sportową, która dziś właściwie jest najpotrzebniejsza i często bywa noszona, jak to się mówi, „na wszystkie okazje”. Taką skromną sukienkę „na wszystkie okazje” reprodujemy obok.

Główną zaletą naszego modelu są kieszonki z dwóch trapezów. Modne i efektowne. Kolnierzyk wykładany jest „wizycznie” modny i bardzo lubiany przez ogół kobiet. Należy pamiętać, że nawet przy sportowych sukienkach talia musi być bardzo obcisła.

Bardzo ładnie zbudowane kobiety mogą sobie pozwolić na modną w tym ro-

Szczupłe, chłopcę figury wyszły zresztą zupełnie z mody. Pogardzany i maltretowany od wielu lat biust oraz inne tzw. kształty nareszcie doszły do głosu. Wprawdzie ten fakt wpędza wiele kobiet w tragiczny dyktator: jak schudnąć w talii, tyjąc równocześnie w biustcie i biodrach, ale nie na to poradzić nie można. Chyba przy pomocy gorse-

## Nowinki

— Jesień przywróciła nogom kobiecym kobiecy wygląd. Na zagranicznych rewiach obwija przeważały wysokie obcasy i fantazyjne fasony. Mniej skóry, a więcej zamszu. Niskich obcasów było bardzo niewiele.

— Salony kosmetyczne wprowadziły nowy zabieg nie tyle upiększający, ile zdrowotny. „Pacjentka” nakłada kaptur, zakrywający zupełnie głowę, obrzmienie rękawice i specjalne boty. Wszystkie te akcesoria są elektrycznie nagrzewane i mają pobudzić obieg krwi oraz ułatwić rozluźnienie mięśni. W stroju takim, zaprezentowanym na wystawie kosmetycznej i fryzjerskiej w Chicago, najpiękniejsza pani wygląda, jak groźna mieszkanka Marsa.

— Do Londynu przybyła na krótki pobyt paryska dyktatorka mody, pani Schiaparelli. Garderoba, którą przywiozła ze sobą nawet na tak krótką wizytę, mogłaby przypaść większości kobiet o atak zazdrości. Pani Schiaparelli, która stanowczo i bezapelacyjnie wypowiadała się za modą długich sukien, została bardzo ostro skrytykowana przez prasę brytyjską. Zarzucają jej, że zbyt często zmienia swoje dyktatorskie rozkazy, nie licząc się w ogóle z możliwościami kobiet, które pragnie zmusić do ciągłej zmiany garderoby.

— Moda, która przeważnie troszczy się tylko o panie, tym razem wkroczyła i w świat męski. Elegancy panowie będą tej zimy nosić krawaty, ręcznie malowane w różne wesołe desenie. — Wprowadzi to trochę urozmaicenia do dziedziny, w której mężczyźni są zdecydowanie konserwatywni.

— W Paryżu i Londynie uzgodniono, że w czasie nadchodzącej zimy panie będą nosić podwójny sznurek sztucznych pereł ciasno dookoła szyi. Pereł nie tylko nadają korzystny odblask cery, ale podnoszą wygląd najskromniejszej sukienki.

— W Londynie przebywa w charakterze zwykłych podróżnych lub przemyślników kilkadziesiąt tysięcy emigrantów „szpiegów” — ekspertów mody opłacanych przez wielkie firmy amerykańskie i francuskie. Są oni upoważnieni do zapłacenia do 10.000 f. szt. za fotografie i opis ślubnej sukni księżniczki Elżbiety. Firma, której udało się zdobyć te tajemnice, mogłaby zrobić wielki majątek, wypuszczając masowo na rynek kopie tej sukni. (Pewna firma nowojorska, której udało się zdobyć z góry informacje o ślubnej sukni księżniczki Windsor, sprzedała kopie tej sukni po 100 dolarów, zarabiając na całej transakcji przeszło 300.000 dol.). Sprawa sukni ślubnej księżniczki Elżbiety strzeżona jest w Londynie, nierzadziej niż tajemnica wojskowa. Suknia składająca się będzie z wielu części, przy czym każdą część szyje inna krawcowa. Ponadto przygotowuje się ten sam model w wielu kolorach i z różnych materiałów. W ten sposób nawet krawcowa, która zeszycie części, nie będzie wiedziała, jaki jest ostateczny kolor i materiał. Szpiezy nie tracą jednak nadziei i „podziemna” walka trwa. Kto zwycięży, nie wiadomo.

## O racjonalnym urządzeniu mieszkania

Na skutek braku mieszkań jesteśmy wszyscy ograniczeni do minimum w zajmowaniu przestrzeni. W jednym pokoju musi nierzadziej mieszkać cała rodzina. Z tych względów urządzenie naszego mieszkania powinno być urządzone jak najbardziej racjonalnie, by przestrzeń, którą dysponujemy, jak najlepiej wykorzystać, a równocześnie nie stwarzać ciastoty.

W mieszkaniu, obojętnie — dużym, czy małym, powinny być tylko te meble, które są niezbędnie potrzebne. Można to zresztą powiedzieć nie tylko o meblach. W wielu mieszkaniach znajduje się cała masa przedmiotów zupełnie bezużytecznych, które zagrażają domowi, wypełniając szafy. Przeżyta wojna dowiodła, jaki kłopot sprawia człowiekowi jego mienie

ruchome. Im mniejsze było, tym łatwiej było się z nim rozstać, lub przenosić z miejsca na miejsce. Pamiętajmy, ile kłopotu sprawiło nam swego czasu likwidowanie mieszkania po zmarłej ciotce. — Nie wiadomo było, co robić z kilkoma kufkami, wypełnionymi starym ubraniem zjedzonym przez moje, albo z mostwem połamanych stołków, dziurawych garnków i innych, nie nadających się do użytku przedmiotów.

A więc tylko rzeczy potrzebne powinny mieć prawo obywatelstwa w mieszkaniu. Nie jest obojętne, jak rozstawimy w nim meble i jak porozmieszczamy wszystkie drobne przedmioty. Pomysłowość pani domu jest tu niewyczerpana. Można urządzić mieszkanie tak czy inaczej, ale zawsze trzeba mieć na uwadze, aby zostawało jak najwięcej przestrzeni wolnej.

Każdy przedmiot w domu musi mieć swoje stałe miejsce, żeby go można było znaleźć w nocy po ciemku. W szafce z naczyniami nie powinna się błąkać bielizna, a w szufladzie obuwie. Niestety w wielu domach panuje w tych rzeczach straszliwy bałagan i odbywa się wieczne, irytujące szukanie potrzebnych przedmiotów. Dobra gospodyni nigdy nie powinna sobie zadawać pytania: „gdzie jest moja pończocha”, bo pończochy powinny się znajdować w specjalnie na to przeznaczonych szufladach lub pudełkach.

W rozplanowaniu szafy i szuflad trzeba zachować pewną celowość. Musimy sobie zdawać sprawę, dlaczego umieszczamy tu książki, a tam np. bieliznę pościelową. Nie może to być wymieszane, jak groch z kapustą. Dzieciom należy przeznaczyć oddzielne półki lub szuflady na ich rzeczy. I tam powinien również panować porządek. Trzeba dzieci przyzwyczajać do tego porządku od najmłodszych lat. Troje dzieci mojej znajomej, z których najstarsze ma zaledwie 6 lat, chowa wieczorem skrzęty nie swoje zabawki i układa w kosteczkę ubranie.

Wszelkie draperie, portiery, plusze, lambrekiny nie powinny już znajdować się w naszych mieszkaniach. Dawno weszły z mody, nie są wcale ładne, a gromadzą tylko kurz i pozbawiają światła. Mieszkanie jest tym ładniejsze, im więcej ma światła, z tym większą prostotą jest urządzone. Firanki są ozdobą mieszkania, ale muszą być przejrzyste, aby przepuszczają światło i słońce. Zbyt wielka ilość klepskich obrazów wcale nie zdobi mieszkania, szczególnie jeśli pod nimi znajdują się roje pluszków. To samo można powiedzieć o wszelkich llnych ozdobach, przede wszystkim o figurkach. Lepiej mniej niż dużo, bo wtedy nigdy się ich nie wydera z kurzu.

— Ozdobą mieszkania są kwiaty, ale tylko naturalne. Żywa pelargonja jest stokroć piękniejsza od papierowej róży. Jesienią można ozdobić mieszkanie bukietem pożytków liści, w zimie gałązką świerku lub sosny, nigdy zaś sztucznymi kwiatami.

Łazienka nie została zbudowana po to, żeby w niej trzymać stare graty. —

ku, idealnie prostą sukienkę o „koszulowym” kroju, której jedyną ozdobą jest kolorowy sznur w talii i takiż korale na szyi. Wiem jednak z własnego smutnego doświadczenia, że kobieta zbyt szupcia wygląda w takiej sukni, jak przysłowiowy „kij od szcztotki”.

tu. Nawiasem mówiąc, za granicą w każdym niemal sklepie z damską garderobą można zaopatrzyć się w autentyczny gorselik z fiszbinami oraz w specjalne poduszeczki, imitujące biust i inne wyzniosłości kobiecej figury.

Wychodząc z założenia, że wiele kobiet gwozi modzie osiągnięte upragnioną „linię osy”, reproduujemy model sukienki popołudniowej z lekkiej i miękkiej wełny, który w prosty sposób podkreśla wszystkie zalety talii. Zapamiętaj z przodu na szereg małych guzików oraz szalenie modne koronki przy wycięciu i mankietach nadających sukni wymagany w tym sezonie, nieco staroświecki wykład. Z tyłu sukienka jest zupełnie gładka o kroju „princesse”.

Chętnie noszone w tym sezonie są spodniczki plisowane — całkowicie i częściowo w miejscach dowolnych. Bardzo ładnie wygląda sukienka sportowa z prostymi kieszeniami na biodrach, spod których spływają ku dołowi 3—4 plisy. Plisowane suknie mają jednak kardynalną wadę, a mianowicie tę, że trzeba za nimi „biegać z żelazkiem”. Szczególnie, kiedy sukienka jest zrobiona z najczęściej gniotącej się, przydziałowej wełny. A trzeba pamiętać, że zgnieciona sukienka nigdy nie wygląda elegancko.

ZET.

Ewa.

## W poszukiwaniu czarnego złota

W pierwszym okresie rozwoju przemysłu naftowego odkrycie źródła naftowego było często sprawą przypadku. Istnieje legenda, że jeden z pionierów rzucił swój kapelusz w górę, po czym prowadził wiercenie tam, gdzie upadł kapelusz. Takie opowiadania należą do malowniczej przeszłości. Dziś prawie wszystkie odkrycia oparte są na badaniach naukowych.

Wiercenie poprzedzone jest miesiącami żmudnej pracy geologów, paleontologów i geofizyków. Geolog poprzedza jednak fotograf, który robi z samolotu zdjęcie terenu, jakiego uczony nie mógłby zbadać w ciągu wielu tygodni. Na zdjęciu natomiast uczony może zbadać możliwości istnienia 3 elementów, które wskazują na obecność nafty: ewentualne łożysko, rezerwuuar z porowatą skałą i „strukturalną pułapkę”.

Łożysko, jest to formacja skalna, która była niedgdy dnem morskim; jej skamieniałe pozostałości uważane są na ogół za źródło nafty. Rezerwuuar zawiera naftę, wytworzoną w łożysku, a pułapka strukturalna, jest to zaporą w rezerwuuarze, o którą zatrzymuje się nafta. Kiedy geolog znajduje wszystkie trzy elementy, przyzwany zostaje geofizyk dla zmierzenia siły przyciągania ziemi. Paleontolog określa tymczasem ze skamieniałych pozostałości wiek badanej warstwy. Następnie założa sejsmograficzną zakładkę ładunek dynamitu, wywołując sztuczne trzęsienie ziemi, którego wstrząsy, notowane na powierzchni, oznaczają głębokość dolnych warstw, którymi mogą być również pułapki.

Dopiero, kiedy miejsce zostało obrane na podstawie tych badań naukowych, rozpoczyna się wiercenie.

Dzięki nowej technice wiercenia i lepszym maszynom, dzisiejsze szyby wiercone są bez zmarowania ani jednej kropli nafty. Dawny „wytrysk” należy już do przeszłości. To prawda, że wyglądał bardzo imponująco, ale marnował cenne czarne złoto, tak ważne dla gospodarki każdego narodu. A wojna podkreśliła bezcenną wartość nafty, która odgrywa domagającą rolę w wielu dziedzinach.

## DLA NAJMŁODSZYCH

## ZBYSZEK SPÓŁDZIELCĄ!

Ojciec Zbyszka wrócił dziś zmęczony od pracy. Pracował ciężko przy naprawie nabeżrza, które zostało w straszny sposób zniszczone przez okupanta. Manusia już czekała z obiadem. Wszyscy zasiadli do stołu. Po skończonym obiedzie ojciec zawołał Zbyszka.

— Posłuchaj! Pójdź do spółdzielni. Czy wiesz, co to jest spółdzielnia? — zapytał ojciec.

— Tak, tatusiu — odpowiedział Zbyszek. My w szkole też mamy spółdzielnię.

Tatus Zbyszka roześmiał się.

— Tak, tatusiu — jeszcze raz potwierdził Zbyszek.

— A po co wam spółdzielnia i kto ją wam prowadzi? — pytał ojciec syna. Zbyszek, który sam zajmował jedno z bardziej czynnych stanowisk w spółdzielni szkolnej, zaczął teraz ojcu tłumaczyć.

Spółdzielnię założyliśmy już w zeszłym roku szkolnym. Lokal dał nam kierownik szkoły. Jest to mały pokój, w którym umieściliśmy wielką szafę na przybory szkolne. Ciężko nam było w pierwszych tygod-

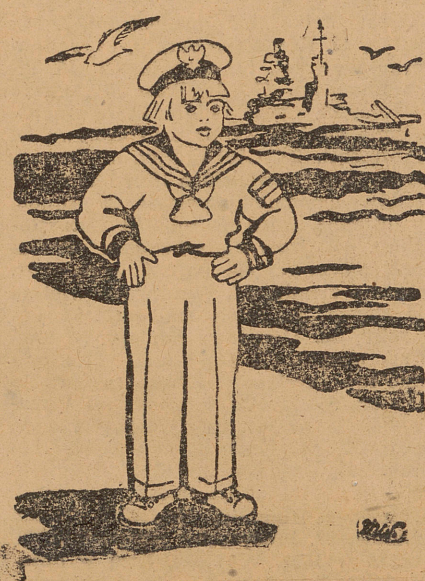
niach. Trudno pokonałszy wspólnym wysiłkiem i urządziliśmy wspaniałą spółdzielnię. Dziś z radością spoglądamy na nasz sklepik. Mieści się w szafie, w której pełno jest towarów, wszystkie równiutko ułożone.

— A jakie macie z niej korzyści i po co wam młodym potrzebna jest spółdzielnia? Zbyszek potrafił wszystko ojcu wytłumaczyć.

— Uczmy ona nas pracować w gromadzie.

## Jak Tatus...

Choć jestem mały,  
Lecz o tym marzę,  
Aby, jak tatus  
Być marynarzem.



Chciałbym po morzach  
Pływać dalekich,  
Poznać nowe  
Łądy i rzeki.

Chciałbym okrętem  
Zwiedzić pół świata  
I to zobaczyć,  
Co widział tata.

Chcę być, jak tatus  
Dzielny i śmiały  
I morzu oddać  
Serce swe całe.

Jak on odważny  
Chcę być w podróży,  
Nawet największej  
Nie bać się burzy.

I tak, jak tatus  
Pragnąłbym szczerze  
Przynosić chlubę  
Polskiej banderze.

Całemu światu  
Kiedyś pokażę,  
Że zuchy polscy  
Są marynarze.



